

Danuta Gil-Łowkis

Stefan (2)

Spoglądała z niego smutna dziewczyna ubrana w szarozieloną sukienkę, okryta czarnym, koronkowym szalem, z włosami ściągniętymi do tyłu, w które wpięta była kępa również czarnych kwiatów. Zdjęcie miało niezwykłą wymowę, ale zdecydowanie bardziej niezwykły był fakt, że po raz pierwszy zobaczyłem je, zresztą po wielu latach, wśród rodzinnych zdjęć Leszka. – Skąd je masz? – zapytałem odruchowo. – Przysłała mi po waszym ślubie – powiedział. Musiało tak być, skoro na odwrocie napisała: „Na pamiątkę – bratowa Ewa”. Dlaczego nigdy mi go nie pokazała? Mieliśmy ze ślubu bardzo dużo zdjęć, które oglądaliśmy wielokrotnie. Dlaczego nie natknąłem się na nie? Czyżby ukrywała je przede mną? Zieloną sukienkę pamiętam, ale dlaczego i skąd wzięła te czarne kwiaty i szal?

To były pierwsze pytania, które sprowokowały kolejne. Dziś, po śmierci Leszka, już nikt niczego nie wyjaśni.

Ciekawe, czy wszyscy zastawiają na siebie podobne pułapki, tak jak ja to zrobiłem? Były przecież pytania, na które mógłbym uzyskać odpowiedź, na przykład, jaki był początek? Co się stało wtedy na plaży, zanim mi pokazał Ewę? Czy ją poznał, czy jedynie zobaczył? A jednak nie zapytałem, bo bałem się odpowiedzi. Upłynęły lata, byłem przekonany, że zatarła się we mnie pamięć o Ewie, a mimo to nie chciałem usłyszeć, że coś ich łączyło. Dlatego wyłącznie sobie zadawałem pytania – skąd Ewa miała adres Leszka, skoro nigdy go jej nie dałem, i dlaczego, gdy Leszek odwiedził mnie w Krakowie, tak wnikliwie nam się przyglądała? Może po prostu spostrzegła, że nas pomyliła. Byliśmy przecież wtedy niezwykle do siebie podobni, szczególnie z oddalenia i w letnim słońcu.

Chyba kończyła się noc. Zgasilem światło i gapilem się w okno, za którym stała ni to biała, ni szara, ni niebieskawa mgła. Jasność z trudem przebijała się przez mgielną masę i zamiast wyodrębnić z mroku przedmioty, odbierała im cechy realności. Zapatrzeni i zagubiony w upiornej scenierii rodzącego się poranka, pomyślałem, że wciąż będę zadawał sobie bezsensowne pytania i szukał na nie odpowiedzi.

Pamiętam, jakby to było wczoraj. Wyszedłem z łazienki i natknąłem się na Sabinę, służącą teściów. – Pani tutaj? Co się stało? – zapytałem. – Ewunia zasłabła – wyjaśniła zdenerwowana.

Po tym zdarzeniu, które miało miejsce z rana, Ewa przespała cały dzień. Mimo wizyty lekarza oraz przyjętych leków wciąż była słaba

i senna. W domu atmosfera stała się ponura. Teściowie zamykali się w swoich pokojach, nie przychodzili na wspólne posiłki. Jadałem sam lub w towarzystwie stale milczącej Sabiny.

Kłopoty z Ewą zdrowiem, początkowo wyglądające niewinnie, wystąpiły niedługo po ślubie, jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Ani przez moment nie traktowałem ich serio, a o tym, że mogą być zwiastunem czegoś poważnego, groźnego, nawet nie pomyślałem. Byliśmy przecież młodzi, silni młodością i chęcią odniesienia sukcesu w zapasach z życiem, dlatego nie wdawałem się w niepotrzebne rozważania, oczekiwałem wyłącznie pomyślnych dni. Przede wszystkim byłem skupiony na sobie, byłem szczęśliwy i dumny, że spełnia się to, co zaplanowałem, że potrafiłem zamiar doprowadzić do wyznaczonego końca. Wydostałem się z biedy i prostactwa, wszedłem do rodziny i poprzez nią do środowiska, które wiele znaczy. Należało tylko nie zaprzepaścić szansy, którą było małżeństwo z Ewą.

Pod koniec trzeciego tygodnia u Ewy pojawiły się oznaki powrotu do zdrowia. Zaczęła wstawać i usiłowała przekonać najbliższych, że wszystko wraca do normy. Łóżko zamieniła na fotel, a nocną bieliznę na dzienny strój. Powrót był dla niej trudny, wymagał ogromnej siły woli. Ewa to szczupła, wysoka kobieta o powolnych, pełnych godności i elegancji ruchach. Zawsze miała widoczną w oczach ciekawość życia i ludzi, których ceniła i podziwiała. Teraz, po chorobie, z lekka się pochylała i jakby przykurczyła, poruszała się z trudem, a jej błyszczące oczy straciły blask i zainteresowanie toczącymi się wydarzeniami. Gdy któregoś dnia stanęła w drzwiach do mego pokoju, byłem szczerze zaniepokojony. – Ewa – powiedziałem – chyba jesteś za słaba na to, żeby wstawać. Usiądź wygodnie, a ja, jeżeli trzeba, przyniosę ci coś do okrycia. Zrobiła to i zapytała, gdzie odłożyłem zdjęcia ze ślubu, bo chciałaby je przejrzeć. Przyniosłem wszystkie. Nie sięgnęła po nie od razu. Długo siedziała, milcząc.

– Jesteś taka zamyślona. Czy coś się stało? – zapytałem.

Ewa zwlekała z odpowiedzią. Spuszczoną głowę podniosła po chwili. Nie spojrzała na mnie, wzrok skierowała na okno, a może na widoczne za oknem gałęzie gruszy, którą sama w dzieciństwie posadziła. W mojej obecności nigdy dotąd nie była taka poważna, wręcz nieobecna. Dlatego nadal pytałem: – O czym w takim skupieniu myślisz?

– Przyszłam... – odezwała się cichym głosem – aby poprosić cię o wybaczenie.

– O czym ty mówisz? – powiedziałem zdumiony, ale i z wyraźną ulgą, bo przez moment miałem wrażenie, że usłyszę coś złego. – Ewka, zapamiętaj! Choroba jest chorobą. Przed nami całe życie. Kłopoty miną.

Któregoś z majowych dni Ewę zabralo pogotowie. Powoli zaczynałem rozumieć, że dzieje się coś niedobrego, coś, czego nie przewidziałem, co może zburzyć moje życiowe plany. Regularnie bywałem w szpitalu, bacznie ją obserwowałem i denerwowałem się, że nie widzę poprawy.

To był piękny, czerwcowy dzień. Gdy przyszedłem, przy łóżku stali rodzice. Mimo długotrwałych kłopotów ze zdrowiem Ewa wyglądała ładnie. Ciemna oprawa oczu na tle bardzo bladej twarzy na przekór chorobie zdawała się ją ożywiać. Wzrok przez moment jakby nabrał dawnego blasku. Spojrzała na ojca. – Pomóż mu – poprosiła. Patrzyli sobie w oczy, aż on się rozplakał. – Córeczko, nie mogę, już nie mogę – niemal wyszeptał, ale ona chyba go słyszała. Popatrzyła jeszcze na matkę, powiedziała „kocham” i przechyliła głowę. Staliśmy w milczeniu. Rodzice cichutko płakali.

Spojrzałem na nich i na Ewę. – Ewa, posłuchaj... Ewa... przyniosłem ci...

– Ona nie żyje – bardzo opanowanym głosem przerwała mi matka. – Ewunia umarła, odeszła.

Nie rozumiałem. – Jak to nie żyje? Co ona mówi? Umarła? Kiedy? – Na pozór proste słowa w chaotyczny sposób pytały o niespodziewane wydarzenie, szukając łatwej, jasnej odpowiedzi. – Nie, to niemożliwe – myślałem. – Przecież nic się nie stało. Szpital funkcjonuje, wszystko wygląda jak zawsze. Nie! Tak się nie umiera! Jeżeli nie ziemia, to bodaj łóżko powinno drgnąć. I oni – teściowie, tacy chłodni, zupełnie pozbawieni emocji. Skąd matka wzięła przekonanie, że Ewa odeszła? Co wie, czego ja nie wiem? Jak zobaczyła granicę między życiem i śmiercią? Dlaczego ja nic nie zauważyłem? A Ewa? Taka spokojna, opanowana. Czyżby pogodzona ze śmiercią? Powiedziała „kocham”. Czy przestała istnieć, zanim dotarło do mnie znaczenie tego słowa? A poza tym nie pożegnała się ze mną. Z nimi tak, a ja? Nawet na mnie nie spojrzała. O kim ona rozmawiała z ojcem? O mnie?

Stałem odrętwiały, nierozumiejący niczego. Widziałem pielęgniarkę, jak wręczała rodzicom zieloną kopertę. Chciałem krzyknąć: – Co zostawiła dla mnie?!

Błąkałem się po mieście. Do domu wróciłem po pogrzebie, o którym poinformowała